



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Felisia czytała z zapalem (str. 315).

KARTKA Z PAMIĘTNIKA.

Miałem lat piętnaście skończonych i przeszedłem z promocyą do klasy VI-tój, mateczka moja, (ojca już wówczas nie miałem,) wysłała mię na wakacje do stryja, właściciela wioski w Lubelskiem, sama zaś w téj porze musiała się udać na kilka tygodni do miejsca leczniczego. Stryjowstwo mieli jedną tylko córkę, o dwa lata starszą odemnie, brakło mi więc w ich domu stosownego towarzystwa, ale dla mieszcucha

wieś tyle przedstawia rozmaitych przyjemności, że nie nudziłem się wcale. Stryj pozwolił mi jeździć konno, przywiozłem z sobą strzelbę, podarowaną przez matkę i ogromny zapas amunicji; nieszczególny wprawdzie ze mnie był myśliwy, na dziesięć strzałów raz ledwo trafiłem, a jednak niefortunne takie polowanie sprawiało mi rozkosz niewypowiedzianą.

Stryj miał dużo zajęcia przy gospodarstwie, nie mógł więc nademną ezuwać; ja wprawdzie byłem głęboko przekonany, że w moim wieku można się już obejść bez opieki starszych, lecz on odmiennego był zdania, wiedział dobrze, ile to wy-

pądków wydarza się z powodu nieostrożnego obchodzenia się z bronią palną, zapowiedział mi więc, abym nigdy sam nie chodził na polowanie, ale zawsze brał z sobą starego Jakóba, wiernego i zaufanego sługę, który za młodu pełnił obowiązki gajowego i umiał się ze strzelbą obchodzić. Bardzo mi się to nie podobało, tém więcej, że Jakób pozwalał sobie dawać mi rady i przestrogi, a często nie mógł ukryć uśmiechu i lekceważąco ręką machał, gdy raz po raz pudłowałem. Nie śmiałem się opierać wręcz woli stryja, który był dobry i uprzejmy dla mnie, ale umiał czasem tak brwi namarszczyć i spojrzeć surowo, że nie miałem wcale ochoty na niezadowolenie jego się narażać. Żaliłem się więc tylko przed stryjeczną moją siostrą Felisią, ona zaś łagodnie mi perswadowała:

— Dziwny jesteś, mój Stefku — mówiła — czyż możesz brać ojcu za złe, że się o ciebie obawia? W szkołach was przecież nie uczą obchodzić się z bronią, więc i wstydu niema żadnego, jeśli w tém ci braknie wprawy i doświadczenia. Cóż ci zresztą zawadza stary poczciwy Jakób, że patrzy na to, jak strzelasz?

— To mi zawadza, że mię traktują, jak dziecko — odrzekłem — młodszy odemnie koledzy opowiadali mi, jak nieraz godzinami chodzą sami po lasu ze strzelbą. I co ja im powiem, jak powrócę z wakacyj? Kłamać nie chcę, a trudnoż się przyznać, że polowałem z niańką. To okropne!

— A więc to próżność, nic więcej — mówiła znów Felisia — idzie ci o przechwałki przed kolegami. Opowiadał ci przecież ojciec, jaki tu straszny wypadek wydarzył się w okolicy przeszłego roku. Chłopiec starszy od ciebie, nie obeznany z bronią, nabił źle strzelbę, którą proch rozsądził w jego rękach. Biedak padł na miejscu zabity, rodzice zostali w rozpacz, jednego go tylko mieli. Gdybyś sam chodził z tą strzelbą, mój Stefku, ojciec nie miałby chwili spokoju, mama i ja drżałybyśmy ciągle ze strachu.

— Dobra rzecz — mruknąłem niechętnie — nie iść w las, ażeby nie spotkać wilka.

Pewnego rana szedłem przez podwórze folwarczne w towarzystwie nieodstępного Jakóba, ze strzelbą nabitą przewieszoną przez ramię, ogromną torbą u boku, jakgdybym miał zamiar wymordować z kopę przepiórek; z pośpiechu jednak, po nabiciu dubeltówki, zapomniałem kurków podwodzić, Jakób to zaraz zauważył.

— Niechno panicz poczeka — rzekł stary — kurki u strzelby nie odwiedziane, może wypalić, nigdy tego nie trzeba robić.

— Mała rzecz — odburknąłem urażony — umyślnie kurków nie podwodziłem, tak mi się podobało, co Jakóbowi do tego?

— Mnie tam nic do tego, ino pan kazał pilnować...

— Pilnować! — krzyknąłem rozzłoszczony — co to ja dzieciak, smarkacz jaki, żebym miał być ciągle pod komendą takiego starego głupca...

Urwałem nagle, bo stryj stał przedemną, taki namarszczony, z tak groźnie zaciśniętymi ustami, że aż mi ciarki przeszły od stóp do głowy. Wziąłem jednak na odwagę, byłem do najwyższego stopnia zniecierpliwiony.

— Proszę stryja — mówiłem dalej, zwracając się do niego — dosyć już dla mnie téj opieki, ja nie dzieciak...

— A ja ci powiadam, że jesteś dzieciak i do tego niesfor-

ny dzieciak — rzekł stryj surowo — nie wyobrażaj sobie, że ci takie wybryki ujdą na sucho. Przedewszystkiém proszę mi zaraz przeprosić Jakóba; poczciwy ten starzec pełni swój obowiązek, ja na to nie pozwolę, żeby znosił obelgi od takiego smarkacza.

— Ja mam przeproszać Jakóba? — wykrzyknąłem z najwyższym oburzeniem — za nic, za nic, żadna siła mię do tego nie zmusi.

— A, jeżeli tak — powiedział stryj spokojnie — to od dajże mi strzelbę, mój paniecu i pójdz za mną.

Nie było rady, musiałem oddać strzelbę, jak niepyszny, i ze wstydem i rozpaczą w sercu poszedłem za stryjem. On mnie zaprowadził do próżnego śpichrza i powiedział:

— Posiedzisz tu dzień cały o chlebie i wodzie, a ja już sam Jakóba przeproszę za ciebie, uwalniam cię od tego, skoro to za tak wielkie upokorzenie uważasz.

To rzekłszy, śpichrz na klucz zamknął, pozostawiając mnie samego z myślami niezbyt różowej barwy. Postępowanie stryja wydało mi się najokropniejszą przemocą, siebie zaś uważałem za ofiarę prześladowania, porównywałem się w myśli do różnych nieszczęśliwych ludzi, więzionych niewinnie przez srogich tyranów. Postanowiłem jednak znieść mężnie i cierpliwie tę ciężką niesprawiedliwość, nie okazać mojemu prześladowcy przygnębienia i rozpacz, tak przecież czynili bohaterowie dawniejszych i nowszych czasów.

W godzinę stryj przyniósł mi sam dzbanek z wodą i spory kawałek chleba, sądził może, iż upokorzę się i prosić będę o przebaczenie, zawiódł się jednak, przyjąłem go w milczeniu, spojrzałem tylko na niego z godnością, jaka męczennikowi przystoi. W kwadrans potem usłyszałem znowu szelest klucza w zamku, drzwi się otworzyły i weszła Felisia z grubą książką w ręku, za nią wbiegł poczciwy mój przyjaciel, Bryś.

— Biedny mój Stefku — rzekła z uczuciem — żał mi cię serdecznie, musisz się tu nudzić okropnie sam jeden, uprosiłam więc ojca aby mi pozwolił posiedzieć z tobą godzinę. Przyniosłam z sobą bardzo zajmującą książkę, może poczytamy trochę, czy dobrze?

— Jak chcesz, siostrzyczko — odpowiedziałem obojętnie — dziękuję ci za współczucie, ale niepotrzebnie się o mnie troszczysz. Stryj nazwał mię dzieciakiem i jak dzieciaka na pokutę zasadził, a ja mu dowiodę, że potrafię znieść niezასłużone cierpienie z męstwem dorosłego człowieka. Mogł ujarzmić ciało, duch pozostanie swobodny! — deklamowałem z uroczystą powagą.

Leciutki, zaledwie dostrzeżony uśmieszek zarysował się na ustach Felisi, przezwyciężyła się jednak i przybrała nastrój stosowny do okoliczności.

— Cieszę się, mój Stefku — rzekła — że cię w takim usposobieniu znajduję, a jak widzę, wybrałam właśnie bardzo stosowną książkę; są to obrazki historyczne, przeczytam ci niektóre wyjątki najpiękniejsze. Oto ten rozdział, w którym są zebrane rozmaite przykłady mocy ducha i bohaterskiego męstwa wśród przeciwności, zajmie cię niezawodnie.

I Felisia zaczęła czytać głośno ów rozdział, w którym występowały bohaterowie starożytnych i nowożytnych czasów, tacy, jak Leonidas, stawiający czoło olbrzymiej potęgze nieprzyjaciela na czele nielicznej garstki wojowników, Regulus, idący dobrowolnie na śmierć dla dotrzymania danego słowa wielu innych. Były tam także przykłady, z historii pol-

skiej zaczerpnięte, czytała tedy Felisia, jak to rycerz bez skazy Zawisza Czarny wolał zginąć, niż ratować się haniebną ucieczką; jak Spytek z Melsztyna poszedł na śmierć niechybną, nie chcąc być tchórzem nazwany; jak dzielni hetmani, Żółkiewski pod Cecorą, a Chodkiewicz pod Chociemem, padli na polu chwały, gasnącym głosem wydając wojску rozkazy; jak Marek Sobieski męczeńską śmiercią zginął pod Batowem.

Felisia czytała z zapalem, ja też mimowoli porwany byłem pięknoscia opowiadania, słuchałem z zajęciem, i w miarę, jak te wielkie, bohaterskie postaci, przesuwaly się przed oczyma méj duszy, dziwnie jakoś malała i bladła moja własna przygoda poranna. A wtém Felisia przewróciła parę kartek i zaczęła znów czytać dzieje Samuela Zborowskiego. On także był niby odważny, nie uląkł się nawet majestatu królewskiego, lecz ta fałszywa odwaga była tylko popędliwością i doprowadziła go do zbrodni, do zabójstwa. Potém nie chciał się poddać zasłużonej karze, nie zważał na to, że mu śmierć groziła, co on odwagą mienił, było zuchwalstwem. Można czuć litość dla Zborowskiego, na współczucie, na uwielbienie, nie zasłużył niestety, choć nie był tchórzem.

— Nie wiem, braciszku, czy cię to tak zajmuje, jak mnie — mówiła Felisia dokończywszy tego rozdziału — ja niezmiernie lubię historję. Zostawię ci tę książkę, bo muszę już pójść do mamy, która mnie potrzebuje. Jestem pewna, że wszystko od deski do deski przeczytasz z przyjemnością.

I odeszła, a ja rzeczywiście z zajęciem wielkiem czytałem rozdział po rozdziale i czas mi bardzo szybko upłynął do wieczora. O zachodzie słońca stryj przyszedł wypuścić mnie z więzienia, nie przemówił do mnie ani słowa, lecz ja przerwałem milczenie:

— Stryju — rzekłem — odsiedziałem naznaczoną karę i nie wymagasz już teraz odemnie, abym Jakóba przeprosił. Ale ja sam, dobrowolnie chcę go przeprosić, bo czuję, że zawiniłem względem niego i szczerze tego żałuję.

— To bardzo pięknie, mój chłopcze — powiedział stryj, twarz jego się rozjaśniła, otworzył ramiona i serdecznie mnie uściskał — chodźmyż razem do Jakóba. Żebyś wiedział, jaki ten pocziwy stary był zmartwiony, wyklócił się ze mną za ciebie, omal mię tyranem nie nazwał głośno, jak ty zapewne nazywałeś po cichu.

Jakób rozplakał się, jak bóbr, gdy przystąpiłem do niego, a stryj powiedział, że z własnej woli, bez żadnego przymusu chcę go przeprosić. Od téj pory byliśmy z sobą w jaknajlepszej zgodzie, zaprzyjaźniliśmy się nawet bardzo, a ponieważ z czasem strzelałem coraz celniej, z bronią coraz umiejętniej się obchodziłem, więc i nie było powodu do żartów i przestroóg. Jakób doskonale umiał wynajdywać miejsca, gdzie najwięcej było przepiórek, cyranek i bekasów, a takie przytém zabawne anegdotki myśliwskie opowiadał, że zasmakowałem niezmiernie w jego towarzystwie i gdyby nawet stryj był pozwolił, nie miałbym ochoty polować bez niego. Do dziś jestem wdzięczny Felisi, która mi tak roztropnie wskazała różnicę pomiędzy męstwem i mocą ducha a zuchwalstwem.

KRYSTAŁ GÓRNY.

Szczęśliwy, kto ma czystość kryształu,
W którego duszy iskra zapala

Tworzy bez końca pryzmata!!

Wszystko w niej będzie wielkiem i świętem,
Ryc na niej można tylko dyamentem;

Bądźmy kryształem wśród świata!

Gabryela Puzyrmina.

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....a

(Dalszy ciąg).

Rano dnia tego ojciec, matka, dziad i babka weszli do kaplicy, każde z wielką świecą zapaloną w rękę, i polecali jednaka swego Bogu, ofiarując go na rycerstwo, a tymczasem ołtarz zajaśniał rzesistém światłem, państwo Garbowscy z całym dworem napelnili kaplicę i ksiądz kapelan uroczyste rozpoczął nabożeństwo, a na ołtarzu przed nim leżał miecz i pas rycerski. Z przepisany ku temu obrzędem, kapelan pobłogosławił miecz i pas, państwo Garbowscy przywiedli Złotego pacholika za ręce do stóp ołtarza, a kapelan przypiął mu miecz i pasem go objął mówiąc;

— Od téj chwili wolno ci jest, młodzieńcze, używać miecza tego w obronie religii, ojczyzny, i czci własnej.

Następnie po nabożeństwie odprowadzono nowego giermka do wielkiej sali, téj saméj, gdzie to on przed dwoma laty wieczną przyjaźń Zawiszy Czarnemu ślubował, i tam stary pan Garbowski w obec całego dworu, w pięknej mowie wyjaśnił mu obowiązki i przywileje przywiązane do zaszczytnego stopnia giermka. Potém otworzyły się drzwi do drugiej sali, długim zastawioném stołem i już szli wszyscy na ucztę, gdy pani Beata Jaśkowa z Dębinki padła do nóg dawnéj swéj opiekunki, pani Garbowskiej, dziękując za opiekę nad Złotym pacholikiem, który teraz miał dalej niż na Garbowski dwór od matuchny swéj odlecieć. Popłakały się skromne, zające, dla kraju i rodziny żyjące jedynie kobiety, aż panowie mężowie, sami wzruszeni, musieli niby to żartem wezwać je do uczty, „aby wraz z barszczem z uszkami” nie ostygł świeży zapal świeżego giermka, który przecież musiał jeszcze na dziedzińcu zamkowym dać się poprobować dawniejszym giermkom, aby wiedzieli, co wart jest nowy towarzysz.

Po uczcie zatem, dostatniej, lecz domowéj, bo oprócz Jaśków z Dębinki byli na niej tylko Michałowie Zborkowie obecni z obcych, udali się starsi państwo i panny na wewnętrzny ganek, który w skromnym zameczku czyli dworcu Garbowski zastępował krużganki zamkowe, i przypatrywali się ztamtąd, jak wszyscy szlachta obecni, a najprzód jedyny giermek służbowy, a w końcu pan Jaszczołd, jedyny tu rycerz pasowany stary, oprócz samego pana, gonili na ostre z nowym giermkim, próbując jego sił i zręczności. I otóż pokazał się dziwna rzecz: bo po kilkugodzinnych utarczkach, nowy giermek, wprowadzie nikomu zgniebić się i zwyciężyć nie dał, ale też nawzajem nie odniósł ani jednego świetnego zwycięstwa takiego, co to na jego widok zapal ogarnia widzów, i wszystkie, wieniec i kwiaty panieńskie, i szarfy, lecały na plac boju ku zachęcie walczących. A jednak Złoty giermek, którego mimo nowéj godności wciąż przez przyzwyczajenie Złotém pacholciem nazywano, nie zdawał się wcale tém skłopotany; przeciwnie, wyglądał on jakby wszystko czynił od niechcenia, aby zbyć, a coprędzej dążyć tam kędyś, gdzie mu bardzo śpieszno było. Jakoś nie wszyscy zrozumieli to odradu, i rodzice, a nawet państwo Garbowscy, niezbyt zadowoleni byli z tak pospolitych, nieczem nieodznaczonych popisów wychowańca, aż dopiero pan Jaszczołd obserwujący go uważnie, i w czasie zapasów rycerskich, i podczas uczty, rzecze:

— Ejże, ... coś mnie się zdaje, że ten nowy giermek jakoś od niechcenia nas zbywa, jakby żartował, nie dając się zwyciężyć, a nie racząc postarać, aby też sam świetnie miał zwycięstwo? Cóż to jest, młody giermeku? czyliżbyś z wielkiej dumy tak zachowywał się na lepsze walki, niż domowe na Garbowskiem dziedzińcu?

— Złoty pacholik zrozumień się na te wyrazy tak mocno i zdziwił tak wyraźnie, że widocznem było, iż bystry pan Jaszczołd odgadł, co się w duszy chłopca działo ... pragnienie i nadzieja tryumfów na królewskich dworach zwracało mu głowę. Panowie szlachta tymczasem, z których każdy mógł walczyć i walczył nieraz zwycięsko na prawdziwych rycerskich gonitwach, spojrzeli wzajem po sobie, a ten i ów bąknął:

— Tam do licha! ... to więc ten świeżo wylęgły giermek tylko od niechcenia walcząc z nami zwyciężał nas delikatnie?... a to ciekawość jest, jakby było, gdyby naprawdę zabrał się do rzeczy, he? ...

Tak uroczystość rycerska wstąpienia Złotego pacholika na stopień giermka odbyła się jednego i tegoż samego dnia, choć rozmaicie to po innych zamkach dla znakomitszych paniczów bywało. Oprócz skromnego stanowiska rodziców, był i konieczny w tym razie pośpiech tego przyczyna. Na trzeci dzień nowy giermek wraz z całym orszakiem, dla pana Zawiszy urządzonym, wyruszył w drogę do Węgierskiej stolicy. Gdy przejeżdżano koło granicznego kopca, zdawało się giermkowi, że coś się tam za nim szarego ruszyło:

— Ot szarak! ... siedzi w kapuście, gdyby tak było przez kogo posłać matuchnie, tobym ubił i posłał — powiedział do towarzyszy, ale że nie było przez kogo, tedy westchnawszy tylko za matusią zapłakaną, pojechał dalej. Wkrótce rozmaite odległej podróży zatarła smutek rozstania, a gdy nareszcie po długich trudach podróży dobiło się do celu, to jest do wspaniałego miasta, i gdy następnie sławny w świecie rycerz Zawisza Czarny, ujrawszy przybyszów, zawołał z podziwem ale i z serdeczną radością także:

— A wy tu zkąd się wzięli? a i ty także Złoty pacholiku, braciszku mój! ... — natenczas Złoty pacholik rzucił się najprzód wprost na szyję a potem do nóg tego brata, ideała swojej młodości i już o wszystkim zresztą zapomniał.

Ani mu się śniło, że wówczas, kiedy to przy kopcu granicznym do szaraka chciał celować, nie szarak tam żaden ruszał się za kopcem, tylko przycupnęła chuda, czarniawa i zamorusana dziewczyna, przyglądając się chciwie a skrycie Złotemu pacholikowi przemienionemu w giermka, i jadącemu w świat, aby świetnym zostać rycerzem.

Jadwis powróciła do rodzicielskiego dworku cała we łzach i gniewna przytém.

— Czego płaczesz, brudasie? — spytała matka, pani Michałowa, która teraz z każdym dniem żałowała, że córkę w zbytnej wychowała prostocie.

— Ja nie płaczę, zła jestem! — krzyknęła nieobyczajna dziewczyna, zalewając się łzami — Zła jestem, bo mógłby też niegodziwy Złoty pacholik chociaż pożegnać się ze mną grzecznie, gdy dotąd darliśmy z sobą koty, a teraz on w świat wyjechał! Ale ani pomyślał, że ja na świecie jestem, szarak mu był w ostatniej chwili na myśli a nie ja; a przecież to on mi jest brat stryjeczno-stryjeczny nawet, więc jakże mogę znieść taką wzgardę od niego?

W istocie istniało dalekie pokrewieństwo pomiędzy państwem Jaskami i Michałami; pani Michałowa uczuła boleśnie zapomnienie młodego krewniaka i rzekła ze łzami:

— Otóż tak jest starszych nie słuchać: mówiła mi nieraz stara Jaskowa z Dębinki babka, że córkę mają ja źle wychowując, pozwalając na niepanieńskie wcale z końmi i z rusznicą swawole, a mnie się zdawało, że ona tak mówi, aby papinkowate wychowanie swego wnuka Złotego wysławić; a oto teraz pokazuje się, że miała ona słusność, i że ja źle swoją córkę wychowałam, kiedy ona blisko trzynastoletnią panną będąc, nie umie dzisiaj szacunku ludzkiego sobie zjednać! ...

— W mowie pani Michałowej drżało tak ciężkie strapienie, że aż je pan Michał posłyszał, wszedłszy przed chwilą do alkierza i zabierając się iść w pole, rzekł:

— Nie obwiniaj no siebie bardziej niż słusność pozwala, żono, bo ja świadkiem jestem że choć nie broniłaś Jadwis na koniu jeździć i na drewniane kordy chłopaków pobijać, to przecież nie kazałaś jej nigdy biegać roztarganej i umorusanej, próżnując, lecz owszem zapędzałaś ją zawsze do kądzieli. Ale dziewczynie przypadła swawola do smaku, a my oboje, jeżeli w czém zawiniliśmy, to tylko w tém, iż nazbyt pobażliwi jesteśmy i nie karzemy jej surowo za próżniactwo, boć w próżniactwie tém jest wszystko złe: gdyby dziewczyna czysto i schludnie odziana siedziała u kądzieli, zamiast wiatr gonąć po polach, pewnoby ludzie mieli dla niej należną uprzejmość.

To rzekłszy pan Michał wyszedł z niskiego i ciemnego dworku do pracy na szerokie, jasne krakowskie łąny; matka i córka pozostały zamyślane nad jego słowami. Matka doskonale rozumiała zawarty w nich wyrzut, iż była dla córki zbyt pobażliwą, acz pan Michał słusznie i do siebie samego wyrzut ten stosował. Ale córeczka przedewszystkiem usłyszała tylko i spamiętała, że gdyby nie biegała „zamorusana i roztargana”, toby ją ludzie szanowali:

— A no, kiedy tak, to niechże mię ludzie szanują; potrafię i ja być delikatną, strojną panienką, chociaż to jest nudne bardzo — zawołała z gniewem i zbliżywszy się do beczki z wodą, zaczęła się w niej sobie przypatrywać, przeglądając się w wodnem zwierciadle i poprawiając odzienie. Matka natychmiast starała się jej wytłumaczyć, że wcale nie o stroje i nie o delikatność tu idzie, lecz o prawdziwą skromność, i pracowitość i schludność, które oznaczają dobre wychowanie. Na nieszczęście matka mówiła sobie, a samowolna Jadwis myślała sobie co jej się spodobało:

— Czekajcie, wy piękne panienki — myślała — niechaj no umorusana Jadwis weźmie się do tego głupstwa, jakim są stroje, a zobaczymy, czy was wszystkie w kąć nie zapędzi, bo kto umie trudniejsze rzeczy to i łatwiejsze potrafi!

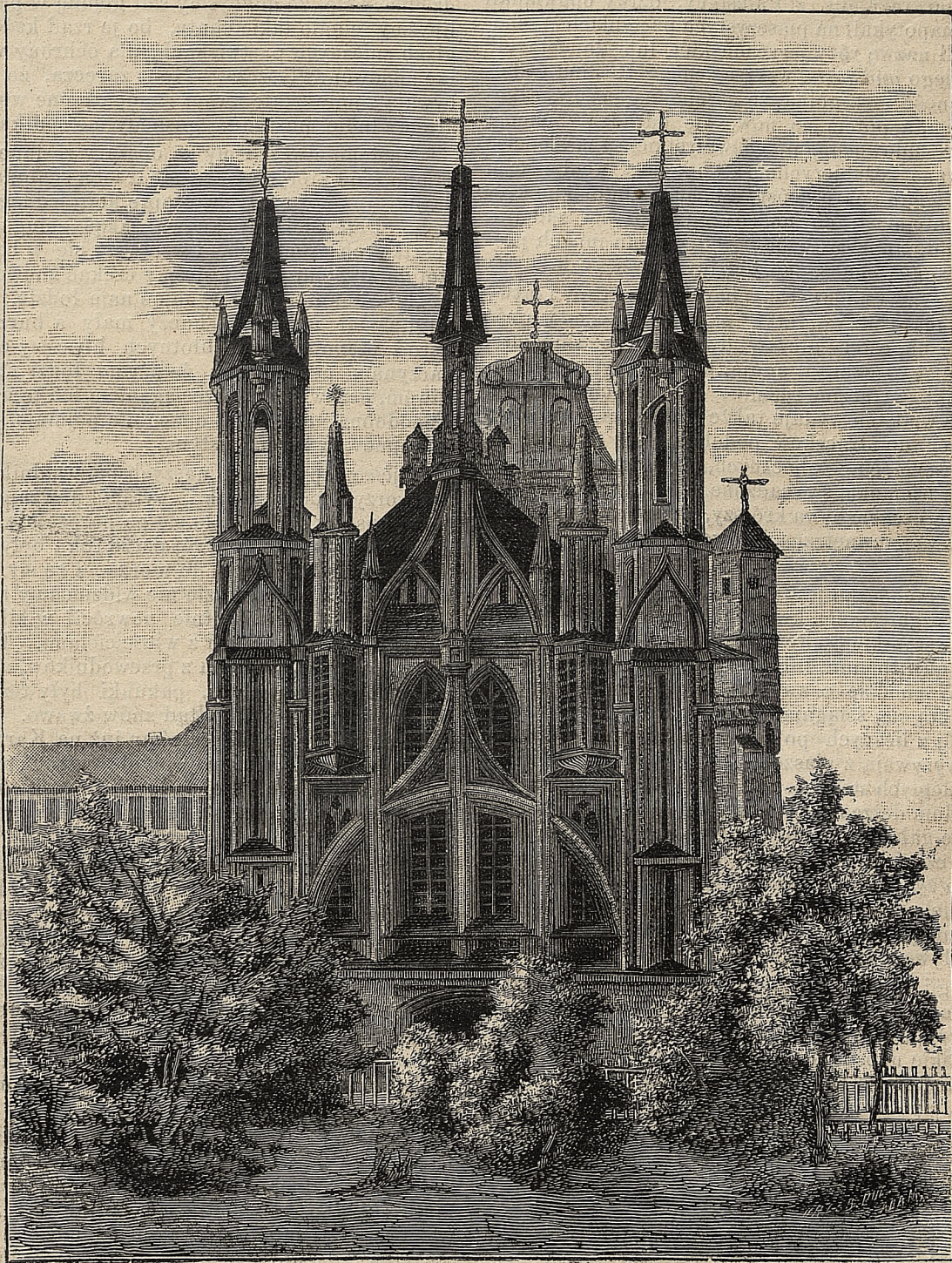
Od tej chwili dziwne zaszły zmiany w dworku państwa Michałów; Jadwis zabrała się za pomocą dziewczek do kadzenia, robienia wieńców na ściany, usypywania podłogi pachnącemi korzonkami, do mycia podłogi i oczyszczania błon w okienkach, co wszystko bardzo się rodzicom jej podobało, ale przytém nakręcawszy na dziewczki o tę robotę, Jadwis zabierała się, nie już do czesania bujnych kos swoich, coby także podobało się rodzicom, lecz do przeczesywania ich kilka razy dziennie, układając w przeróżne przypiekane skrętki i twarzączkę smarując ewikłowym buraczkiem, ponieważ zasłyszała, że strojne wielkie panie, i włosy przypiekają, i twarz sobie dla rumieńców malują.

— Otóż masz! a to nieszczęście jakieś przystąpiło do tej dziewczyny — biada! sobie rodzice — wprzód umyć jej się i uczesać i zaszyć odzienia nie chciało, tylko uganiała, jak najswawolniejszy chłopak, a teraz znów stroi się na potęgę i o kosztowne suknie prosi, ładną bladawą buzię smaruje czerwienią, aż wygląda jak indyk w gniewie, i zdaje jej się, że to ładnie! A i wprzód i teraz kądziel leży w kącie porzucona i wszystek drób' zginałby z głodu przy takiej gospodyni, która dziewczkom tylko w komnatkach sprzątać każe, sama niczego się nie tknie, i o gospodarstwie ani pomyśli, a przecież dziewczyna już duża! ... Oj oj, nieszczęsne próżniactwo jest tego podobno przyczyną; czem skorupka z młodu nasiąkła, tem i teraz trąci! ... A czy się to kiedy odmieni?

Tak rozmawiali z sobą, martwiąc się dziwną córką państwo Michałowie, a sąsiedzi, patrząc na Jadwis, mówili między sobą:

— Biedni też ci Michałowie z taką córką; jedną mają i z tém kłopot; albo umorusana, albo wystrojona a próżnująca zawsze; dziwna rzecz, że matka sama dość rządną kobietą nie może jej wytłumaczyć, iż posłuszeństwo, pracowitość porządek i skromność to prawdziwe cnoty panińskie.

— Ha, pozwolili się rozswawolić dziewczynie od dzieciństwa, to mają teraz cudaka.



Kościół Ś-tój Anny w Wilnie.

Kościół Ś-tój Anny w Wilnie.

Piękny ten kościół jest cennym niezmiernie zabytkiem dawniejszej architektury. Pochodzi on z XIV wieku, budowany był na wzór świątyń ostrołukowych odrębnego stylu, który w dziejach sztuki nosi nazwę wiślano-baltyckiego i właściwy jest dawnym budowlom krzyżackim. Styl ostrołukowy

pospolicie, choć niewłaściwie, zwany jest także gotyckim; najdawniejsze świątynie tej architektury były budowane we Francji, nie więc nie mogły mieć wspólnego z narodem Gotów. Najstosowniejszą jest nazwa ostrołuku, gdyż główną cechą tego stylu stanowią ozdoby w kształcie łuków ostro zakończonych, śpiczastych, jak to widać na naszej rycinie.

RÓŻA JERYCHONSKA.

Krzyżowcy, powracający z Palestyny, dziwy opowiadali o roślinie, którą napotykali na piaszczystych pustyniach Wschodu i której nadali nazwę róży jerychońskiej lub „anastazy” od wyrazu greckiego *anastasis*, wskreszenie. Roślina ta bowiem ma tę własność szczególną, że usycha na pozór całkowicie z korzeniem, a potem na nowo się odradza. Niema w tém jednak nic cudownego, przedewszystkiem zaś wiedzieć trzeba, że tak zwana róża jerychońska nie jest wcale różą, a nawet najmniejszego pokrewieństwa nie ma z tą piękną królową kwiatów, natomiast, co niejednego zapewne zadziwi, zbliża się bardzo do kapusty, rzodkiewki, i wielu innych prozaiicznych warzyw, gdyż należy do rodziny krzyżowych.

Kwiat krzyżowy jest nadzwyczaj charakterystyczny i łatwy do rozpoznania, ma cztery płatki, na krzyż ułożone, sześć pręcików nierównych, cztery dłuższe, dwa krótsze. Linneusz, znakomity botanik szwedzki, w swojej klasyfikacji roślin nazywał takie pręciki, wyłącznie rodzinie krzyżowych właściwe, czterosiłnemi. Kwiat ten wydaje także i nasiona odrębnego kształtu, na pozór do strączków podobne, lecz różniące się tém, że oprócz dwóch ścianek bocznych, mają po środku przegródkę, na której nasionka są osadzone. Nasiennik taki nazywa się łuszczyną, czasem bywa krótszy, nakształt gruszczyki, z tą samą budową wewnętrzną, wówczas przybiera nazwę łuszczynki.

Słynna róża jerychońska jest to roślina nieduża, jednoroczna, o lodydze rozgałęzionej, kwiaty jej białe, w rodzaj kłosu skupione, mają wszystkie cechy krzyżowych, wydają krótkie łuszczynki. Po okwitnieniu, liście opadają, a ponieważ w tej porze roku na Wschodzie zazwyczaj bywa wielka posucha, więc gałązki kurczą się, ściągają, a krzak cały przybiera postać kuli, złożonej z licznych poplątanych włókien. Wichry wiatle korzonki wyrwywają z piaszczystego gruntu i całe krzaki unoszą po rozległych stepach, jak piłki. Jeżeli zdarzy się wówczas, że spadnie deszcz i powietrze napoi się wilgocią, natychmiast zeschnięte gałązki pęcznieją, rozprostowują się, korzeń z łatwością czepia się zwilżonej, miękiej ziemi i cała roślina powraca do życia, liście jej odrastają i nowe wykutują pączki. Jest wiele innych roślin, które w większym lub mniejszym stopniu posiadają tę własność ściągania się i rozciągania pod wpływem suszy i wilgoci.

W terminologii naukowej róża jerychońska, czyli zmarłych chwastanka, nazywa się *anastatica hierochuntica*, rośnie w Palestynie, Syrii i Egipcie. Na wchodzie istnieje podanie, że róża jerychońska unosiła się za śladami stóp Najświętszej Panny, gdy uchodziła z Dzieciątkiem Jezus przed pogonią Heroda i zakwitła po drodze, którą przechodziła.

POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA

w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

I ja żałowałem, bo ciekawy byłbym widzieć, jakby oni dokazali tej sztuki, żeby upolować na łyżwach, kijami, dużego wilka. Gdy śniegu na drodze naszej zabrakło, jechaliśmy ciągle wierzchem, a sanie, przywiązane jedno za drugimi, włókl jeden renifer. Spotkaliśmy chatę dość nędzną, ale zawsze pożądaną na spoczynek, bo znaczne zmiany temperatury następowały nagle po sobie, po których też zmianach zaczęliśmy nareszcie oryentować się co do czasu, gdyż właśnie w porze tutejszych słonecznych nocy następuje oziębienie.

Chata, a raczej buda stała przy strumieniu, w którym nawiązywały przepysznych pstrągów, nasi przewodnicy uczęszczali i nas i siebie, przespaliliśmy się, i po kilkogodzinnej podróży napotkaliśmy znowu podobną chatę. Wtedy dowiedzieliśmy się, że gdybyśmy szli głębiej w pastwiska, spotkalibyśmy ciągle takie chaty, bo je rząd każe stawiać w rozległych śnieżnych pastwiskach, dla ochrony wędrowców, w porze zimowej zwłaszcza. Hans zaręcza, że niektóre te domki bywają zamieszkałe nawet i zaopatrzone w przeróżne wygody, aleśmy takiej pustynnej gospody nie spotkali.

Następnie weszliśmy na obszary zasiane straszliwymi głazami, wśród których ostrożnie trzeba się było kierować, a sanie dawno już pozostały w szopie koło jednego z owych schronisk. Przechodzimy znowu jakąś smugą brzołek starych, koszlawych a małych, i wzięwszy się w bok wśród kamienistej doliny, zmuszeni jesteśmy czekać znowu w pustej chacie, aż Hans-John pójdzie wynajść nam łodzie, bo w głębi doliny tej głazami zasypanej huczy mały a burzliwy potok, dalej wśród czarnych jam błotnych błyszczy czysta woda jezior. Zaczynam przeczuwać, że użycie łodzi staje się znowu możliwem, oczywiście z przeciąganiem ich tam, gdzie przepłynąć niepodobna, ale nawet ojciec nie pojmuje, gdzie je tu można wynajmować wśród pustyni.

Ojciec zapytał o to naszych przewodników, a ci zdumieni roztworzyli oczy szeroko, pytając nawzajem, o jakiej ojciec mówi pustyni? Pokazało się po porozumieniu, że w ich przekonaniu okolice te w ową porę roku były, *gęsto* zaludnione przez gromadki idące do morza, i że my ciągle jechaliśmy wśród ludzi. Wprawdzie nie widzieliśmy tych ludzi na oczy, ale niemniej Hans istotnie powrócił w kilka godzin, niosąc łodzie z towarzyszami i z właścicielami. Renifery powróciły do swego stada z jednym z przewodników, a łodzie spuszczone natychmiast na jezioro, pakunki były teraz istotnie bardzo małe, i podróż poszła odtąd znów żwawo. W chwilę później dowiedzieliśmy się, że jesteśmy już na Karasjoke, która wpada do Tany. Karasjoke płynie wśród przeslicznej zieleni i drzew niedużych, ale ładnych i prostych, kaczki uciekają przed nami a przejrzyste fale niosą nas szybko lecz spokojnie.

— A co? teraz to już płyniemy, jak pstrąg! — mówi Hans-John ochoczo, zlekka tylko kierując łódką i wymijając przeszkody nieliczne, w postaci głazów lub pni drzewnych. Mnóstwo rzeczek, wpadających do Karasjoke, niosło nas coraz chęć, aż ujrzeliśmy *miasto Asebaghte*, jak nam szumnie zapowiedzieli wiosłarze. Przypuszczam, że tylko duma narodowa kazała im tak nazywać kilka bud, mocniejszych trochę od zwykłych namiotów. Były tam nawet krowy i dla nich to zapewne Lapończycy musieli osiedlić się trochę stałej. Niezadługo zapowiedziano nam drugie miasto i to wielkie, stolicę powiatu niejako, siedlisko władz miejscowych, miasto Karasjok.

Hans nie myślał teraz unikać miejsc zamieszkałych, ujrzeliśmy więc wkrótce na pięknej, zielonej łące kilkadziesiąt malutecznych chałup, z zieloną trawą na dachach... największe to podobno miasto czysto lapońskie w głębi prawdziwej Laponii. Jest tam jednakże i kościół, i pastor, i szkoła z nauczycielem, i kilku urzędników miejscowych z rodzinami. Ojciec spytał o domek nauczyciela i poszliśmy prosto do niego. W pięć minut później powstała wielka wrzawa, jakiej bardzo dawno w Karasjoke nie było, gdy wszyscy ci miejscowi przedstawiciele władzy i oświaty biegli do domku nauczyciela na nasze przywitanie, zupełnie tak jakbyśmy byli ich serdecznymi i dawno oczekiwanymi krewnymi. A to tylko dla tego, że od bardzo dawna nie widzieli ani jednego człowieka z zamieszkałego świata. I im i nam chciało się przy tém witaniu i płakać, i śmiać zarazem, bo zabawna przecież trochę jest taka wielka serdeczność między ludźmi, którzy się poraz pierwszy widzą.

Zaraz jeden z tych panów, obeznany trochę dla zabawy z zegarmistrzostwem, pochwycił nasze zegarki, aby je naprawić, drugi kazał służącemu Lapończykowi dostarczyć nam lapońskiego obuwia, za które wszyscy ręczyli, że jest daleko wygodniejsze od naszego, i mieli słuszną, odtąd nie włożyli.

śmy innego aż do powrotu do Pitei, Panie zajęły się gwałtownym naprawianiem naszych zdartych zasłon od komarów, dały nam i swoje całe, a w dodatku niby uwędzone w dymie jakieś zioła, których woń istotnie trzymała komary w oddale. Do śmierci tego nie zapomnę tym paniom,

Przepędziliśmy tam dwa dni, sądząc chwilami, że jesteśmy w Stockholmie, bo też dwie z tych pań tam się właśnie wychowały i czyniły co mogły, aby w Karasjoke utrzymywać w sobie złudzenie, że się jeszcze w Stockholmie znajdują. Nawet kwiaty miały w okienkach starannie pielęgnowane i łzami i chorobą podobno jedna z nich niedawno opłacała uschnięcie takiego kwiatka. Oglądałem owe zimowe budy lapońskie, w których to najsłabsi ludzie i psy ogrzewają się wspólnym ciepłem przy ognisku przez ciąg najprzykrzejszych mrozów... okropność jest spojrzeć na te małe budy i pomyśleć, ile tam istot żyć musi. A jest kilka bud takich około Karasjoku. Smutno nam było rozstawać się z niedawnymi przyjaciółmi.

Z podziwieniem dowiedziałem się, że już jesteśmy na wodach sławnej Tany, która wpada do oceanu Lodowatego przez wielki Tanafjord, czyli zatokę Tany. Nie zauważyłem wcale, kiedy z wód Karasjoki wpłynęliśmy na Tanę, ale wkrótce spostrzegłem, że fale stają się coraz burzliwsze i potężniejsze. Niosły nas one coraz gwałtowniej, tak, że trzeba było często wysiadać na brzeg i przedzierać się pieszo z powodu zbyt gwałtownych spadków rzeki, ale wiosłarze pozostawali z łódkami na falach, skacząc, jakby na dzielnych rumakach w śpionione przepaści przez poprzewracane kłody, skały, lub straszliwe złomy olbrzymie rud żelazistych, zawałające dno coraz potężniejszej rzeki, nakrytą częstokroć i z góry niby dachem poprzechylanemi sosnami i brzożami.

Ale drzewa zaczęły prędko maleć i niknąć a głązy, złomy, kłody skamieniałe, żelazne olbrzymy, bo tu są skarby żelaza, zaczęły potęgnać coraz więcej, jakby tu były w właściwym swoim żywiole. Czasami ukazywało się coś podobnego do pojedynczego domu lub chaty i zniknęło, zresztą otaczała nas pustynia, ożywiona tylko hukami Tany potężnej. W dwóch nadbrzeżnych domostwach spaliliśmy i posilali się, ale oba zamieszkałe były przez Lapończyków rybaków, którzy stracili renifery swoje, ponieważ ich „nieszczęście ścigało” (a może niedbalstwo) zostali rybakami, łowią i sprzedając ryby. Jeden z nich mieszkał z młodym synem, drugi zupełnie sam.

Opowiadał, że żył dawniej na łasce krewnego, posiadającego znaczny majątek w reniferach, i pomagał mu w pracy koło nich. Raz zachorowawszy w wędrówce wiosennej „do morza”, pozostać musiał w tej chacie u brzegów Tany, ponieważ „nie można zrobić z chorem inaczej”. Pozostawiony z zapasem żywności „jak zwyczajnie taki chory” przecież wyżył po jakimś czasie. Gdy pod zimę krewni, powracając na zimowe pastwiska, zajrzeli do chaty, aby zabrać jego zwłoki z sobą „na cmentarz do gminy” jak rząd każe, uzdrowiony wolał pozostać już na resztę życia w tej chacie...

Spoglądaliśmy z ojcem na siebie w czasie tego spokojnego opowiadania. Ja zupełnie nie wiedziałem, co myśleć o tych dobrych Samesach, dowiedziawszy się o tak dziwnym ich zwyczaju w obejściu z chorymi. Ojciec spytał Hansa, jak oni mogą obchodzić się z chorymi tak okrutnie, a Hans odpowiedział na to pytaniem:

— A jakże robić inaczej?
Sames jest wprawdzie niewolnikiem reniferów swoich, i nie może zatrzymać się w drodze dla chorego, gdy renifery potrzebują iść dalej szukać pastwisk, ale czyż to niewinna dostateczność jego obejście z chorymi? Widząc nasze pełne wątpliwości zdziwienie, Hans zapewnił, że podobne wypadki zdarzają się niezmiennie rzadko, gdy chory nie może wcale ruszyć się z miejsca, i gdy nie ma nikogo, ktoby mógł z nim pozostać, a także i dla tego nieczęsto zdarzają się podobne wypadki, że Sames bardzo rzadko podlega chorobie w ogóle... Ojciec pokiwał tylko głową na te wyjaśnienia.

Coraz większa gwałtowność Tany, szalony prąd fal, unoszących nasze łódki, jak płatki swój piany, przechodzić już zaczynały siły naszych zręcznych wiosłarzy przy straszliwych

skokach łódek zwłaszcza, gdy nareszcie dosięgliśmy miejscowości zwaną Polmak. Od Karasjoke prawie aż do tego Polmaku płynęliśmy granicą rosyjską, prawy brzeg Tany należy do Rosyi, od Palmaku mamy znów Norwegię po obu brzegach. Palmak składa się z jednego czy dwóch pojedynczych domostw. Spoczywamy tam przez jedną noc po trzydniowej podróży i puszczamy się dalej. Łatwo mi już teraz rozróżniać bieg czasu, zwłaszcza mając naprawiony zegarek. W kilka godzin później stanęliśmy w Gulielmie, gdzie był kres naszej podróży na falach Tany. Tana pędzi dalej prosto na północ do Tanafjordu, a my, dążąc do Wadso, musieliśmy wziąć się teraz na prawo, na wschód, do Warangerfjordu, który w tym miejscu najgłębiej wrzyna się w ląd, pozostawiając tylko nieznaczny kawał jego do przebycia od brzegów Tany.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Przerysowanie deseni do haftu i różnych robótek podobnych wymaga wielkiej dokładności, nie można tego wykonać od ręki, trzeba koniecznie położyć czysty papier na deseni i zaznaczyć akuratanie wszystkie zakrety rysunku, najpierw ołówkiem zazwyczaj, potem piórem. Papier do tego musi być przezroczysty, aby deseń dojrzeć było można, więc albo cienutki listowy, albo woskowany; czasem też bierze się i zwyczajny papier, lecz wówczas trzeba go, wraz z deseniem przyłożyć do okna, aby otrzymać przezroczystość. Wszystkie te trzy sposoby mają swoje niedogodności, cienki papier drze się łatwo, na woskowanym trudno deseń atramentem pociągnąć, a rysowanie do okna jest męczące. Podamy więc czytelnikom inny sposób, daleko lepszy, a łatwy do wykonania.

Zwyczajny papier zwilżyć za pomocą pendzla terpentyną, benzyną, lub nawet spirytusem. Papier staje się od razu przezroczysty, można na nim wybornie przerysować ołówkiem, co się podoba, a gdy potem obesznie, pociągnąć deseń atramentem. Wszystkie te płyny ulatniają się szybko i żadnego śladu nie zostawiają na papierze, jeżeli są czyste, bez żadnych przymieszek. Papier wodą zwilżony nie dałby się do tego zastosować, bo najpierw nie można by na nim rysować, a potem woda nie nadaje mu wcale przezroczystości. Zapytacie może dlaczego? Nic się nie dzieje bez przyczyny, prawa fizyki wyjaśnią nam tę pozorną sprzeczność.

Patrzając przez mikroskop na papier, zwilżony benzyną, terpentyną, lub wreszcie tłuszczem jakim, spostrzegamy że włókienka, z których się ów papier składa, są w nim jakby skurczone, ściągnięte, a tym sposobem tworzą się pomiędzy niemi otworki, płynem przezroczystym wypełnione. Cały też papier w skutek tego staje się przezroczysty. Kto jednak lubi wszystko zgłębić aż do dna, zapyta znowu, dlaczego takie płyny sprawiają kurczenie się włókienek w papierze? Otóż trzeba wiedzieć, że te włókienka mają w sobie zawsze zawsze trochę wilgoci, chociaż papier na pozór wydaje się zupełnie suchy. Powietrze zawsze zawiera pewną ilość pary wodnej, która wszystkie przedmioty przenika. Wiemy o tém, że oliwa i tłuszcze wszelkie, a także i takie lotne płyny, jak spirytus lub benzyna, nie dają się nigdy zmieszać z wodą, ale oddzielają się od niej, tak prawie jakgdyby ją odpychały. I tu więc, gdy papier zwilżym takim płynem, włókienka, mające w sobie cząsteczki wody, cofają się, kurczą, jakby odepchnięte. Zjawisko to, zwane włoskowatością, było już wyjaśnione niedawno przy opisie doświadczenia fizycznego w Nrze 27, kto zapomniał, niech to sobie powtórnie odczyta.

Dla przestrogi dodamy tu jeszcze, że z benzyną i spirytusem trzeba się obchodzić bardzo ostrożnie, a wieczorem przy świecy nigdy się nie porać z temi płynami, które niezmiennie łatwo się zapalają i były już przyczyną wielu strasznych wypadków.

ZADANIE KONKURSOWE KAZIA.

Od chwili powrotu mojego ze wsi, nieustannie łamałem sobie głowę nad obmyśleniem dowcipnego zadania, chciałbym bowiem popisać się czemś nadzwyczajnym po tak długiej przerwie. Ach! żebyż to tak łatwo było o ten dowcip! A tu jak na złość, ile razy człowiek chce się zdobyć na coś bardzo mądrego, to mu się właśnie nie klei. Oby tylko i ze mną tak się nie stało. W redakcyi naszej dowiedziałem się, że już z różnych stron upominano się o nowe zadanie, zwłaszcza panienki, które kończą w tym roku lat piętnaście, i niedługo już będą mogły do tych konkursów należeć, proszą o pospiech. Nie odkładam więc dłużej i przystępuję do rzeczy.

Każdy z nas dba o to niezawodnie, co o nim inni ludzie myślą i mówią, którzy nie pragną, aby myśleli i mówili dobrze? Życzliwość ludzka, szacunek, cenne to są skarby, nie ma też w tém nic nagannego, jeśli pragniemy na nie zasłużyć. Nawet i o sławie wolno marzyć każdemu, wszak powiedział Jan Kochanowski:

Służmy pocziwój sławie, a jako kto może,
Niechaj ku powszechnemu dobru dopomoże.

Otoż na ten raz takie podaję pytanie: czytelniczki i czytelnicy, co byście chcieli, aby o was ludzie mówili? A gdybyście w przyszłości mieli być sławnymi, czém pragnęlibyście się wsławić? Niech każdy odpowie szczerze i prosto to, co myśli. Do tego konkursu może należeć młodzież do lat 15. Odpowiedzi będą przyjmowane do 15 Listopada, najlepsze zostaną odznaczone nagrodami, a wszystkie, które na to zasłużą, wzmianką w sprawozdaniu. Mam nadzieję, że odpowiedzi te nadchodzą tak licznie, jak zwykle. Tymczasem polecam się życzliwości czytelniczek i czytelników

serdeczny przyjaciel Kazio.

Łamigłówka zoologiczna. (Prymulus różowa).

m . s . k b .
y . t . o e .
s a r e n k a
z . u . z a .
p . s . e d .

Zastąpić kropki literami, aby w kierunku pionowym odczytać wyrazy: 1. Małe zwierzątko bardzo pospolite. 2. Gatunek psa. 3. Ptak duży, przeważnie w Afryce żyjący. 4. Ryba morska bardzo pospolita. 5. Zwierzęta domowe. 6. Ptak dziki, poszukiwany przez myśliwych. 8. Skorupiaki.

SZARADA.

(Od Niuni z Kącika dla Niuni z Poninki).

Pierwsze i drugie dzieciniek zabawa,
A trzecie czyni istota zbyt łzawa;
Wszystko razem ptaszek głośny,
Co zwiastuje powrót wiosny.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 38-go.

Szarady:

Tur — kaw — ka.

Łamigłówki głoskowe:

Ka W ka
Kl A ra
Ka R aś
So S na
Jó Z ef
Dr A wa
Ja W or
Pr A ga

Kronika Rodzinna.

„Kronika Rodzinna” wychodzić będzie w kwartale przysyłym w tymże samym kierunku i warunkach. Zamieszczając artykuły treści poważnej, powieści, komedye, wspomnienia z podróży, korespondencye z Paryża, Londynu, Berlina, Wiednia i inne.

Prenumeratory „Kroniki,” otrzymać mogą po cenie złonęj różne wartościowe dzieła i oleodruki, wykonane starannie w zakładach zagranicznych i krajowych, oraz w dodatku bezpłatnym wydane nakładem Redakcyi PAMIĘTNIKI MARY WESSŁOWNY KRÓLEWICZOWEJ KONSTANTOWEJ SOBIESKIEJ, spisane ze wspomnień i archiwów jej rodziny.

PRENUMERATA roczna w Warszawie rs. 4, na prowincyi, w kraju i zagranicą rs. 5 — (t. j. w Galicyi reń. 6 — w Poznańskim marek 10), stosownie do tej ceny opłata półroczna i kwartalna.

Przesyłki pieniężne adresować należy wprost do Redakcyi: Warszawa, ulica Mazowiecka Nr. 10.

Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TREŚĆ: Kartka z pamiętnika (z drzew.) — Krysztal górny, wierszyk p. Gabryelę Puzyninę. — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a (c. d.) — Kościół S-tój Anny (z drzew.) — Róża Jeryhońska. — Pośród śniegów i lodów pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — Rozmaitości. — Zadanie konkursowe. — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Legwan (z drzew.) — Nad kolebką, wiersz p. Nie-poetkę. — Wojna z muchami. — Niezadowolone, opowiedział Michał Krzemień. — Łamigłówka, rozwiązanie, Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Garbusek, powieść dla dorastających panienek p. Maryą Świdorską.



LEGWAN.

Nieduże to zwierzątko, dość podobne do jaszczurki, żyje na drzewach w Ameryce, karmi się roślinami, jest łagodne i trwożliwe. Krajowcy amerykańscy jadają legwana i utrzymują, że mięso ich jest bardzo smaczne, zawzięcie też na nie polują z psami, które je wytrapiają w różnych kryjówkach leśnych. Legwan okryty jest łuskami zielonej barwy, pod gardłem ma duży worek, który się rozdyma, jak pęcherz, a na grzbiecie rodzaj grzebienia ze sterzących łusek. Na rysunku widzicie, że długie jego łapy opatrzone są ogromnymi pazurami; gdy tak siedzi skulony, ze schowanym egonem, wygląda zupełnie, jak ogromna żaba. Legwan pływa doskonale w wodzie.

NAD KOLEBKĄ.

Nad kolebką, nad malutką,
Staął Anioł-Stróż;
Śpij, dziewczeczko, śpij cichutko,
Czarne oczki zmrz.

Nad twą dolą, nad sierocą,
Czuwa przecież Bóg,
Anioł strzeże dniami i nocą,
Nie dostąpi wróg.

I mateńka patrzy z nieba,
Świętej Panny prosi,
Aby nie zabrakło chleba
Dla maleńkiej Dosi.

Abyś zawsze dobrą była,
Prosi dziadus stary,

Uciesz się, dziewczeczko miła,
Bo to wielkie dary.

Nad kolebką, nad malutką,
Stoi Anioł-Stróż,
Śpij, dziewczeczko, śpij cichutko,
Czarne oczki zmrz.

Nie-poetka.

WOJNA Z MUCHAMI.

Zygmus był to greczny i dobry chłopczyk pięcioletni, miał oczki wesołe, błyszczące, twarzą rumianą, ładne, uśmiechające się usteczka, miło było popatrzeć na niego, wszyscy go kochali w domu, rodzice i bona, i służący. A jednak ten sam Zygmus czasem, gdy mucha mu na nos siadła, tak się odrazu zmieniał, że trudno go było poznać. Oj, te muchy niedobre, co to one szkody wyrządzają po domach, gdzie są dzieci! Bo muchy zwyczajne, co latają i brzęczą, latem tylko dokuczają ludziom, ale te inne, jak się gdzie wnąć, przez cały rok, czy wiosna, czy lato, czy jesień, czy zima, nigdy ich się pozbyć nie można.

Miał i Zygmus taką muchę nieznośną, ona go do różnych brzydkich rzeczy namawiała. Czasem z rana wstaje Zygmus, bona go zaczyna ubierać, a tu mucha pojawia się, nie widać jej, bo ona gdzieś tam dobrze schowana w nosku Zygmuścia, ale zaraz można poznać, że już jest.

— Ja nie chcę czesać się grzebieniem! — woła na przykład Zygmus — ja sam zaczeszę się szczotką, grzebieniem nie potrzeba, ja nie chcę.

Bona tłumaczy, że wszyscy czeszą się grzebieniem, że główka niezaczesaana wygląda bardzo brzydko, jak strzecha, a Zygmus sam nawet i szczotką zaczesać się porządnie nie potrafi. Nic to nie pomaga, bo mucha jest strasznie uparta, i jak podszeptnie Zygmuśsiowi jakąś niedorzeczność, on to raz po raz powtarza, a zaraz przytęm usteczka mu się wykrzywają, czoło się namarszcza, oczki błyszczą inaczej, gniewem, nie wesołością, ani podobny ten Zygmus z muchą do grzecznego Zygmuścia.

Jeżeli bona nie zważa na to i chce go koniecznie zaczesać, Zygmus zaczyna krzyczeć, wyrwać się, kręci główką na wszystkie strony, a czasem tak się spłaczę, jakgdyby to było coś bardzo złego czesać się grzebieniem.

— Ja nie chcę! ja nie chcę! — woła z całej siły — ja chcę, żeby moja głowa była taka, jak strzecha!

Zygmus wie dobrze, że to nierozsądnie, ale jak go taka brzydka mucha opanuje, w żaden sposób nie umie się jej pozbyć i robi wszystko, do czego go ona namawia. Czasem Zygmus pobrudzi sobie czemś rączki przy zabawie, a tu dają obiad albo podwieczorek, bona woła go do drugiego pokoju, żeby rączki umyć, bo to bardzo nieładnie brać chleb lub bułeczkę brudnymi rączkami. Ale mucha już jest i szepnie tylko Zygmuśsiowi, że umywać się nie trzeba, a on zaraz woła w niebogłosy:

— Ja nie chcę się myć, ja chcę mieć brudne ręce!

Raz zdarzyło się, że mama nie pozwoliła wieczorem Zygmusiowi wyjść do ogrodu, bo było zimno, a on trochę kaszlał. Toż dopiero robota była z muchą! Chłopczyk zaczął płakać, pobiegł do drzwi, próbował otworzyć, uderzał piąstkami z całej siły, a przytęm krzyczał tak głośno, że w całym domu go było słychać:

— Ja pójdę do ogrodu, ja koniecznie chcę pójść do ogrodu!

A gdy go rączki zboleły od uderzenia o twarde drzwi, podniósł nóżkę, uderzył z całej siły, ale drzwi się wcale nie otworzyły, tylko Zygmus zatoczył się i upadł, jak długi, na podłogę. Stłukł sobie główkę i kolanko, krzyczał też i płakał z pół godziny, aż póki brzydka mucha nie odleciała. Wtenczas nasz Zygmus uspokoił się zupełnie, wróciła mu wesoła minka i bawił się bardzo grzecznie przez cały wieczór.

Raz przyjechała na parę tygodni do rodziców Zygmusia ciocia, Zygmus nie znał jęj prawie, bo mieszkała daleko i rzadko kiedy z domu wyjeżdżała. Ciocia była bardzo wesoła, zaprzyjaźniła się prędko ze swoim małym siostrzeńcem, opowiadała mu ładne powiastki i bajeczki, bawiła się z nim wybornie, a Zygmus pokochał ją niezmiernie.

Przez trzy dni mucha ani pokazała się w domu, ale czwartego dnia pojawiła się niespodzianie. Zygmusiowi przyszło do głowy, żeby wozic po pokoju wózek z kamykami, a mama na to nie pozwalała, bo od tego wozenia był straszny hałas. Powiedziała mama, że taki wózek dobry tylko do ogrodu, w pokoju tak hałasować nie można. A mucha zaraz po swojemu szepnęła Zygmusiowi, żeby się uparł i mamy nie słuchał. Bardzo to brzydko, że dzieci wolą często słuchać takiej muchy, aniżeli mamy. Zygmus nie zawstydził się nawet cioci i dalejże wołać i krzyczeć:

— Ja chcę wozic po pokoju, to nic nie szkodzi, że wózeczek stuka, ja chcę!

— Oho! — zawołała ciocia — to i u was, jak widzę, jest ta niedobra mucha! Znam ja się z nią dobrze, ale myślałam, że Zygmus ją umie wypędzać. To bardzo łatwo, ja zaraz pokażę, jak to się robi, o! nieraz ja już taką muchę pędziłam, ja tu ją wystraszę, obaczycie. Dajcie mi tylko parę gałązek.

Mama przedziutko podała cioci dwie gałązki, a były właśnie w pokoju świeżo zerwane do opędzania much zwyczajnych. Ciocia jedną podała Zygmusiowi, drugą sama wzięła, a chłopczyk przestał krzyczeć, bo ciekawy był bardzo, co to ciocia robić będzie. Ona zaczęła biegać po pokój, potrząsając gałązką i wołała:

— A husz! ty niedobra mucho, a husz! a husz! Zygmusiu, pomóżże mi, pędź tę muchę; taki dzielny chłopczyk z ciebie, wstydź się, nie daj się musze. Pędźmy ją razem, obaczysz, że ucieknie.

I dobrze ciocia mówiła: jak tylko Zygmus wyskoczył na środek pokoju z gałązką i zaczął pędzić muchę, wołając za ciocią: „A husz! a husz!” W tęg chwili mucha odleciała. Potęm zaraz ciocia zabrała wózek i odwiozła do ogrodu, Zygmus popychał z tyłu, bo ciocia mówiła, że trzeba jaknajprędzej ten wózeczek sprzątnąć, żeby

mucha czasem nie wróciła, bo ona bywa strasznie uparta, wypędzi się ją drzwiami, a ona oknem wlatuje znowu.

Ale nie powróciła już mucha dnia tego, dopiero na zajutrz, pojawiła się przy ubieraniu Zygmusia; na szczęście ciocia była w drugim pokoju, już ubrana, przybiegła zaraz z gałązkami i z pomocą Zygmusia natrętną muchę wypędziła. Odkąd za każdym razem tak było: jak tylko mucha chciała dokazywać, natychmiast zabierano się do wypędzania, a po wyjeździe cioci, mama albo bona podawała jaknajprędzej Zygmusiowi gałązkę, a on machał nią na wszystkie strony i wołał:

— A husz! ty brzydka mucho! Idź sobie, a husz!

Ciocia wytłómaczyła także Zygmusiowi, że to mucha uczy dzieci mówić: Ja chcę, ja nie chcę, bo grzeczne i posłuszne dzieci nigdy tego nie mówią, tylko o każdą rzecz proszą starszych, pytają, czy można to zrobić, czy można to wziąć, a jeżeli im odpowiedzą, że nie można, nie napierają się wcale. Jak tylko Zygmusiowi przyszła kiedy ochota mówić: ja chcę, albo ja nie chcę, przypominał sobie zaraz, że to mucha go pewnie do tego namawia, i że to wstyd, aby chłopczyk rozsądny nie umiał się z taką muchą rozprawić i jęj namowy słuchał.

Radzimy wszystkim dzieciom, ażeby spróbowały tego sposobu na muchy, który się tak dobrze udał Zygmusiowi.

NIEZADOWOLONE,

opowiedział **Michał Krzemień.**

(Dokończenie).

— Co to? przestraszyłaś się tych ptaków, Ziuniu? a przecież to są najzwyczajniejsze sroki młode, nie ma czego się przestraszać! — rzekł Lucyś.

— Ej, bo tak niespodzianie i nagle wyciągnęły się do mnie te cztery giętkie szyje z czerwonymi rozwartymi paszczami, to tak wygląda wstrętnie i tak to syczy... — usprawiedliwiała się Ziunia zawstydzona, iż zlekka się bez przyczyny.

— One myślały, że ty jesteś ich matka i że jeść im przynosisz — objaśnił Lucyś, i nauczył Ziunię, jak małe sroki karmić trzeba, aby nie zmarmiały z głodu, dopóki się w siły nie wzmogą. Było to rzeczą bardzo łatwą; małe sroczki jadły wszystko prawie, a mianowicie wszelkie mięsiwo, i z tęg chyba był kłopot, że niezmiernie żarłoczne były, a więc biedna Ziunia nieustannie musiała o nich pamiętać:

— Ach! jak też to ich matka pani Srokska może temu podołać! — wdychała ciężko Ziunia.

— To je wyrzucić, jeżeli cię to męczy! — powiedział Lucyś i już brał gniazdo szczypcami od kominka i ciągnął je ku otwartemu oknu:

— Lucysiu! nie rusz! nie bierz, proszę! bo pogina! niech one trochę podrosną, to ja je dopiero wypuszczę, gdy będą mogły się wyżywić! — prosiła Ziunia.

— Dobrze, niech i tak będzie — rzecze Lucyś — tylko przykażę Jędrkowi, żeby mi tu więcej tego ptactwa leśnego nie przynosił.

— I owszem, wolę żeby wcale nie przynosił, niż żeby miała pozwolić zmarnieć niezaradnym ptaszynom, gdy już raz mam je w mojej opiece — odrzekła Ziunia, i dalej pielęgnowała ptaki. Oczywiście w takich okolicznościach młode sroki porosły prędko duże i piękne, jedna z nich zwłaszcza miała ogon wspaniały, długi, ciemny, błyszczący, gdyż była to właśnie owa mocna i dobrze zbudowana strojnisia, jak ją rodzeństwo nazywało, a która krzyczała nieraz:

— Patrzcie państwo! cóż to jest za porządek w tym domu! słońce już dawno zeszło, a ja świeżego mięsa jeszcze nie jadłam! Co to jest!...

Na takie krzyki Strojnisia, Ziunia biegła copędzając i wrzucała jej w skrzeczący dziób kawałek mięsa, a potem copędzając wrzucała inne kawałki jej rodzeństwu, krzyczącemu za Strojnisia przykładem:

— Niech jeno panienka pozwolą — rzecze Jędrus pewnego razu — to my z Pawlikiem popodrzynamy języki tym krzykałom i wyuczy się je mówić po ludzku, dopiero to będą miały co krzyczeć przynajmniej.

— Ty niedobry chłopaku, tobie trzebaby podciąć język, abyś się prędzej liter i czytania wyuczył, jak człowiekowi przystoi, zamiast męczyć ptaki, które nie potrzebują ludzkiej mowy, mając własną — odpowiedziała Ziunia. Ale i jej się już serdecznie uprzykrzyły wieczne wymagania srok, rzekła tedy do Lucysia:

— Sroki już są dorosłe, możeby je wypuścić.

Jakoś Lucyś z Ziunią kazali wziąć Jędrusiowi sroki wraz z gniazdem w koszyk nakryty i poszli z nim w pole, a tam wyrzuciwszy to wszystko na ziemię, wracali sami do dworu; ale sroki zaczęły ich gonić, aż kazali Jędrusiowi odpędzić je wielką gałęzią, a sami prędko uciekli.

— Gdyby to były jakie zgodne, uprzejme ptaszyny, tak jak moja sikorka i szpaczek, tobym je chętnie trzymała, ale takie nieznośne stworzenia, niech sobie idą na swój chleb — mówiła Ziunia, stojąc już w ganku z parasolką otwartą w ręce, a wtém silne uderzenie o wierzch parasolki dało się słyszeć: to Strojnisia, trafiwszy napowrót do Ziuni, dopominała się od niej starań, z których wprzód nie była zadowolona. Lucyś odpędził ją gałązką, ale przez kilka tygodni oboje z siostrą opędzić się nie mogli srokom, które napastowały ich, dziobały i w szyby do dworu stukały, gdy nie mogły wpaść drzwiami.

Aż raz siedziała sobie Ziunia w ganku i nawłoczyła paciorki błyszczące, aby z nich zrobić woreczek, cały buncik tych błyszczących paciorków leżał przy niej na stolczku, wtém przyleciała Strojnisia, porwała błyszczącą wiązkę i uciekła, gdy rozgniewany stojący w pobliżu Jędrus, jak cisnął w nią celnie kijem, tak zabił na miejscu: padła i raz tylko jeszcze kiwnęła wspaniałym ogonem i już było po niej. Widząc to zdaleka dopiero trzy inne sroki, odleciały na dobre od tego dworu, lękając się Jędrusia. Jedzenia miały wszędzie podostatkiem, jak zwykle latem, ale nie chciało im się ani gniazd porządnie zrobić, ani o urządzeniu domu pomyśleć, las i całe ptasie życie wydawało im się nędzne i nieznośne w porównaniu z minioném życiem we dworze, kiedy to się skakało po stołach i najlepsze kąski zabierało Ziuni z talerza i wleciawszy na łóżeczko dziobaniem budziło

ją ze snu, aby copędzając dawała śniadanie zgłodniałym srokom. Takie narzekające i nieznośne spotkała je raz przypadkiem stara Srokska matka i mało głowy nie straciła z uciechy na ich widok, i lży radosne ocierała z oczu białym fartuchem i końcami czarnej mantyli. Ale trzy młode dorosłe już sroki, nawet przy tém spotkaniu pozostały kwaśne i objętne. Dawni sąsiedzi, Gilsy, Wróblescy, Wiewiórcy, otoczyli je ciekawie, radząc, jak urządzić nowe życie i dopytując o przygody burzliwej przeszłości:

— Co tam już o tém mówić — mruzczały sroki, kiwając opuszczonymi skrzydłami — jadało się najsmaczniejsze przysmaczki podawane rączkami ślicznej Ziuni, a teraz to już wszystko przeszło i minęło, jak sen i nigdy nie wróci...

Srokska popatrzyła badawczo na nie, pokiwała głową i ocierając oczy z łez, bo właśnie przyszła jej na myśl Strojnisia, tak rzekła:

— O dzieci moje! miarkuję ja przyczynę nieszczęść waszych i widzę, że leży w tój wadzie niezadowolenia, jakiej mimo moich przestróg nie starałyście się oduczyć z młodości. Niezadowolone byłyście jeszcze w jajkach, potem źle wam było w gnieździe, aż wypychałyście się z niego, i chociaż dziś chwalcie sobie pobyt wśród ludzi i żałujecie go, przecież pewna jestem, że i tam musiałyście źle się sprawować, bo inaczej nie odpędzanoby was kijem... a otóż teraz, wróciwszy do lasu, znowu nie umiecie zadowolnić się tēm, co was otacza, zatém widzę, że stało się to, czego obawiałam się dla was, to jest, że nieszczęsna wada zgotowała wam nieszczęście całego życia! tak się to zresztą dzieje z wielu ptakami. O ptaki ptaki! kiedyż zrozumiecie, że wasze własne wady są największymi waszymi nieprzyjaciółmi!

Tak narzekała biedna Srokska, niezadowolone sroki poszły włóczyć się mrukliwie po lesie, a ptactwo okoliczne wdychało nad własnymi dziećmi, uznając najzupełniej i powtarzając jej słowa ostatnie:

— O dziatwo, dziatwo! kiedyż zrozumiesz, że twoje wady są twemi największymi nieprzyjaciółmi!

Zadanie konikowe.

(Od Pliszki z nad Gopła dla Kazia).

ko		o
ka	ko	kru
Kruk	wi	nie
wy		le

Odczytać znane przysłowie.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 38-go.

Łamigłównki zgłoszkowej:

Marokko — Atlantyck — Turniej — Erie — Jafet — Kuba — Olbrzym.

Matejko — Matejko.

Skrzynka do listów.

PO UKOŃCZENIU KONKURSU nadesłały roboty wykończone nader starannie: Bławatka z nad Horynia. — Kukułka z nad Sanny 8 letnia. — Myszką białą 9 letnia. — Rybka Teterowska 11 letnia. — Wisienka i Wiewióreczka. — Siekierka 9 letnia. — Bocianek 9 letni. — Bezimienna. — Roboty oddane zostały dla biednych dzieci podobnie jak poprzednie i przyjęte były z równą wdzięcznością.

Srocza z nad Bystrzycy długo czekała na odpowiedź, co jednak nie z naszej winy wynikło, liścik był źle zaadresowany i długo wędrował po Warszawie, nim doszedł do redakcyi, o której nawet wzmianki w adresie nie było. Już nieraz powtarzaliśmy, że należy adresować „do redakcyi Wieczorów Rodzinnych, Mazowiecka Nr. 10”; listy i pakiety adresowane do redaktorki lub kierowniczk Pisma często się błakają po mieście, ponieważ osoby te w biurze redakcyi nie mieszkają. Jeżeli Srocza w tym roku nie mogła jeszcze należeć do konkursu robótek, to zapewne wynagrodzi to później; pomysł ten tak się wszystkim podobał, że mamy zamiar podawać stale konkursy podobne.

Kalina z Grażyny musi mieć bardzo pocziwe serduszek, skoro nie mając jeszcze wprawy w robótkach ręcznych i nie pragnąc wcale nagrody, chciała koniecznie do konkursu należeć, dlatego jedynie, aby jakie biedne dziecko z jej pracy skorzystać mogło. Serdecznie dziękujemy za to kochanej Kalinie i za liścik starannie napisany.

Stakato nie musi być bardzo odważną osobką; trzy lata, całe trzy lata walczyć z nieśmiałością, to troszkę za długo, tém bardziej, że Stakato pisze ładną i staranną kaligrafią, a takie liściki są bardzo pożądane. Cieszymy się niezmiernie, że kochane czytelniczki nasze tak licznie stanęły do konkursu robótek, a jakaż to radość była wśród ubogiej dziatwy, która dary te otrzymała, ile błogosławieństw spłynie na robotnice!

Myszką białą będzie miała na całe życie przyjemne wspomnienie, gdyż pewnie dozna zadowolenia wewnętrznego, ile razy pomyśli, że pierwszą robótką, którą małe jej paluszki wykończyły, dostała się ubogiemu dziecku.

Rybka Teterowska także pierwszą swoją pracę przesała dla ubogiej dziatwy, oby ją Bóg za to błogosławił. Nigdy jeszcze podobno nie zdarzało się na świecie, żeby Rybka mieszkała razem z Myszką!

Ptaszyna tak dawno się nie odzywała, sądziliśmy, że już zapomniła o nas, to też ucieszył nas bardzo liścik, a i przesyłka także; nie spóźniła się wprawdzie, ale na przyszłość niech Ptaszyna pamięta o tém, że nigdy nie trzeba zwlekać do ostatniej chwili z tém, co czynić mamy, może to oszczędzić niemało kłopotów i przykrości w życiu.

Ostróżce polnej donosimy, że 50 kop. oddaliśmy biednym dzieciom wygnańca z Prus.

Czarnuska tém większą ma zasługę, że nie mając już prawa do nagrody, robotę swoją ofiarowała poza konkursem ubogim dzieciom. Wielka to dla nas pociecha, że i takie dorastające panienki do grona czytelniczek naszych należą. Sądząc z listu mamy, nie spodziewamy się, aby Czarnuska mogła zasmakować w Piśmie, które starszy braciszek żartem chyba czytać jej radzi.

Błada Różyeczka pisze bardzo dobrze, bo wyraźnie i porządnie, radzimy jej, aby jaknajdłużej pisywała dużemi literami, najlepszy

to sposób wyrobienia porządnego pisma. Wszystkie smutne przejścia z robótką dodają jej tém większej wartości. Pokochałmy też serdecznie tę miłą Bładą Różyeczkę, zapisujemy ją do grona stałych korespondentek i bardzo prosimy, aby odtąd częściej pisywała.

Prządka z nad Dniestru jest dobrze znana i kochana w naszej redakcyi, chociaż troszeczkę zapomniła o nas. Ale teraz trzy, mamy Prządkę za słowo i liczymy na częstsze liściki, prosząc, aby w następnych nie było żadnych ceremonialnych tytułów, tylko „kochana Pani”, bo wszyscy stali korespondenci tak pisują. Hojny datek na kolonie letnie przyda się na rok następny.

Prymulka biała nie ma potrzeby przeproszać za swoje pisanie, które jest bardzo porządne, tak pod względem kaligrafii, jak i pisowni.

Gajówce z nad Obry na zapytanie odpowiadamy, że Strzała ma imię Zofia, pierwsza litera nazwiska F. o ile wiemy, jest w tym samym wieku, co i Gajówka, przesała korespondować z naszą redakcją, nie wiemy zatem, czy Wieczory czytuje. Liścik w każdym razie zamieszczamy.

Ukrainka na Mazowszu zawsze nam wielką sprawia przyjemność opisem swych zajęć wiejskich, tak pożytecznych, a piękną myślą natchnionych. Daj Boże, aby wszystkie panienki ją naśladowały.

Lipie z Małej Rusi możemy donieść, że Gwiazdka z Małej Rusi jest jej rówieśniczką, ma imię Marynia, mieszka w Chorolu.

Szczebiotce dziękujemy serdecznie, że wśród tak miłych zabaw o nas nie zapomniła i znalazła czas wykończenia robótki na konkurs.

Niebieskiej wstążeczki nie potrafimy objaśnić, jakim sposobem przesłać można robótkę z zagranicy, aby prędko doszła. Podobno nie ma na to innego sposobu, tylko upakować i oddać na pocztę, a w takim razie zwłoka na komorze jest nieunikniona.

Zegarkowi winszujemy serdecznie tak pomyślnego zdania egzaminu, żałujemy tylko, że teraz z powodu nauk utracimy zapewne miłego korespondenta.

Pani H. K. w Nagłowicach. Żądane Numera zostały wysłane, pozostało na dalszy rachunek kop. 14.

Panu W. G. w Wierch. Wysłaliśmy brakujące Numera, pozostało kop. 10.

Do wszystkich. Każdy, kto chce należeć do naszych konkursów, powinien się zastosować do warunków następujących: wypisać imię i nazwisko prawdziwe, adres dokładny, oraz wybrać sobie pseudonym do druku, wymienić, ile ma lat. Wszystko to napisać należy przy wypracowaniu, a nie na osobnych karteczkach, które się łatwo zarzucają.

Numer 18-ty.

PRZEGLĄDU PEDAGOGICZNEGO,

CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO WYSEDE I ZAWIERA:

Kartki z geografii fizycznej, przez Wacława Nałkowskiego. — Pogadanki o higienie. V. Higiena szkolna. — Wskazówki metodyczne do nauczania początków gramatyki języka polskiego, przez Henryka Wernica (c. d.) — Zabawy dziecinne w Zwierzyńcu Warszawskim, przez S. B. — Ogródki Froeblovskie w Szwajcaryi. Notatki z podróży, przez Maryję Weryho. — Walny Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowie. — Krytyka i bibliografia. — a) O zaradzie moralnej. Studium psychologiczno społeczne, przez J. Wł. Dawida, ocenił Henryk Wernic.

Na kolonie letnie złożyli: Prządka z nad Dniestru Rs. 3. dla biednych dzieci. Cyganeczka z nad Horynia kop. 20. Wisienka i Wiewióreczka Rs. 1.